

MANIUCHA BIKONT
śpiewaczka,
antropolożka kultury,
uczestniczka badań
terenowych
w Polsce, na Ukrainie,
Białorusi i w Rosji.
Członkini zespołów
grających muzykę
tradycyjną: Dziczka,
Z Lasu, Tegie Chłopy,
Niewte. Współpracuje
z muzykami
jazzowymi. Jest
córką dziennikarki
Anny Bikont
i reżysera
Piotra Bikonta.

Przedstawiamy kobiety, które
działają na rzecz innych
kobiet. Oto kolejna bohaterka
naszego cyklu. Jeśli i wy znacie
taką osobę, piszcie do nas:
kobietykobietom@edipresse.pl

Pieśni maja moc



Maniucha Bikont mogła kształcić sopran koloraturowy i zostać śpiewaczką operową. Ale poszła za głosem serca i zajmuje się muzyką ludową. Dzięki temu ma wszystko, co kocha: muzykę, podróże i spotkania z ludźmi. I właśnie wydała piękną płytę „Oj borom, borom”.

ROZMAWIA Ewa Burska

O

j, borom, borom. Taki jest tytuł pani płyty z ludowymi pieśniami z Polesia. Brzmi niemal jak magiczne zaklęcie. Co znaczy?

Borom, borom, czyli lasem, lasem, borom, borem. Po prostu.

Blisko od jednego języka do drugiego. Blisko też na Polesie czy w okolicy Żytomierza, skąd pochodzą pieśni na płytę?
Niedaleko, 500–600 km, ale jedzie się samochodem ponad 12 godzin, czyli właściwie cały dzień i jeszcze trochę. Z powrotem bywa dłużej, bo nigdy nie wiadomo, ile będzie się stało na granicy.

Często pani tam jeździ?

Kilka razy w roku. Zaczęłam na studiach. Wciągnęło mnie, bo to zajęcie łączy w sobie wszystko, co lubię: śpiewanie, podróże, spotkania z ludźmi i pracę naukową.

A jak to się stało, że pani, dziewczyna z Warszawy, córka dziennikarsko-filmowo-pisarskiej rodziny zamiast, jak „Pan Bóg przykazał”, pracować w gazecie czy fundacji, nagle zaczyna jeździć na Polesie, siada na ławeczce w Kurczycy i śpiewa ludowe pieśni?

Na początku, kiedy byłam mała, przez mojego tatę poznałam ludzi z Fundacji

„Muzyka Kresów” i usłyszałam śpiewaków ze wschodu. A w ogóle zawsze lubiłam śpiewać. Jak jeździłam na wieś, na wakacje z rodzicami, to gospodarz, u którego mieszkaliśmy, brał mnie ze sobą, kiedy szedł pracować, doić krowy, żebym mu śpiewała. A potem chodziłam do szkoły muzycznej, występowałam w chórach. Ale zawsze muzyka ludowa była obecna w moim życiu. I w końcu wsiąkałam w nią na dobre.

A nie myślała pani o karierze jazzowej, operowej?

Przez moment tak, kiedyś nawet poszłam na przesłuchanie do sławnej operowej śpiewaczki, a ona powiedziała, że owszem, że mam sopran koloraturowy, że egzaminy, że Akademia. A ja zapytałam, czy będę nadal mogła śpiewać moją większą muzykę, bo bardzo mi na tym zależy. No i okazało się, że jest problem. Więc się nie zdecydowałam. Przestraszyłam się, że to mnie ograniczy. Wolność wyboru zawsze była dla mnie kluczowa.

Nie żałowała pani tego nigdy? Może dzięki operze czy jazzowi życie byłoby łatwiejsze, dostatniejsze? Jeździłaby pani do Nowego Jorku, do Metropolitan Opera, a nie do Żytomierza?

Zupełnie nie żałuję. Mam życie pełne przygód, podróży, no i miłości. Dzięki muzyce tradycyjnej poznałam mojego życiowego partnera Michała. Oboje jeździliśmy do cudownego wiejskiego skrzypka, śp. Jana Gacy z Przysławowic Małych. Wiele podróży i przygód związanych z muzyką przeżywamy wspólnie. Na nic bym tego nie zamieniła. ▶



OD LEWEJ: W 2008 w Perebrodach – pierwszy wyjazd na Ukrainę. „Słuchamy, notujemy, uczymy się grać do tańca”. W 2010 roku w Perechodycz: wiejskie domy na Ukrainie zawsze zdobią barwne tkaniny z wzorami rodem ze starych haftów. Gospodynie często pozwalają przymierzyć tkane przez siebie stroje. 2008, Perebrody: na Polesiu najchętniej i najswobodniej śpiewa się za zastawionym stołem.

2014. Każdy wyjazd na Polesie to etnograficzne badanie terenowe: Maniucha Bikont nagrywa Marię Oleksijowec i Halyne Kotijas z wsi Załuża. Wydana w 2017 roku płyta „Oj, borom, borom” jest wspólnym projektem pieśniarki Maniuchy Bikont i kontrabasisty Ksawerego Wójcickiego. Ale Maniucha występuje też w wielu innych zespołach, m.in. w Dżiczce i Tegich Chłopach, gdzie gra na tubie.

Rodzice zaakceptowali taki wybór, uznali, że to dobry pomysł na życie?

Myszę, że mamie trudno się pogodzić z tym, że realizuję się na pograjkach w wiejskich remizach, a nie w Metropolitan, że wybrałam studia w Kijowie, kiedy cała Europa stała przede mną otworem. Pewnie się obawia, że wybieram sobie mniej dostatnie i stabilne życie. Ale, tak czy inaczej, mnie wspiera. Tata pewnie trochę się dziwi, że nie poszłam w muzykę improwizowaną, bo w niej mnie wychował, ale rozumie mój zachwyt nad muzyką wsi, czuje, że to też awangarda, niezależność. No i zazdrości podróży na wschód, biesiadowania przy śpiewie.

Na poważnie Polesie zaczęło się w pani życiu 10 lat temu?

Tak, Jagna Knittel, etnografka i autorka filmów, zabrała mnie wtedy na Ukrainę, pierwszy raz na wieś. Żeby szukać pieśni, śpiewaków i śpiewać z nimi.

Co panią uwiódło na tym krańcu Europy? Jak tam jest?

Pięknie. Przestrzeń bez końca. Wielkie lasy, pola, rzeki. Drogi takie, że nie ma się wątpliwości, że jest się na końcu świata, piaszczyste, wyboiste, dziurawe. Wioski drewniane, biedne, ale zadbane. Jak się tam pojedzie, to człowiek potem ma wyobrażenie, jak się żyło kiedyś dawno, kiedy nie było kanalizacji i lodówek, a rytm życia nadawały przyroda i zwierzęta. To wszystko chciałam też pokazać na płycie, stąd zdjęcia, pejzaże, portrety.

Portrety są ważne, bo w tej historii są też ludzie.

Spotkania z nimi są może nawet najważ-

Często mam wrażenie, że ktoś czekał na mnie, na kogoś, komu można pośpiewać, opowiedzieć historię życia

niejsze. Dużo od nich dostaję. Historie ich życia, gościnność, opowieści.

To głównie kobiety...

Tak, stare kobiety, wiele ma ponad 80 lat. Dużo w życiu przeszły, miały trudny los. Ciężko pracowały, no i była wojna, często o niej wspominają. Wiele opowieści jest związanych właśnie z Historią, z wojną, partyzantami, paleniem wiosek. Ale one same nie są smutne. I zawsze eleganckie, w kwiecistych sukniach i kolorowych chustkach. Nie można nie nosić chustki, to po prostu nie uchodzi.

Opowiadają historie i śpiewają pieśni – o czym?

O tym, co najważniejsze. O pracy, o wychodzeniu za mąż, o dogadywaniu się z teściową, o tęsknocie za ojcem, za matką. No i o mężu, na przykład, że nie wypuszcza z domu, nie pozwala odwiedzić rodziny. O tym, że tyle godzin już się pracuje w polu, bołą plecy, a nikt nie spyta, jak się czują. Opłakują swój los, że taki ciężki się zdarzył.

I ciągle smutek?

Nie, nie wszystkie pieśni są smutne, ale przeważają melancholijne. Choć są też radosne, związane z zakochaniem, z zalotami, z płodnością, pieśni żartobliwe, do tańca, do kieliszka. Najweselsze,

najoptymistyczniejsze są pieśni, zwane kolędami życzącymi, w których chłopaki kolędnicy życzą dziewczynie, żeby wyszła za mąż, żeby chłopak jej kupił buciuki albo sukienkę, a gospodarzom, żeby żyli zgodnie i doczekali złotych godów. No i żeby żyto rodziło, oczywiście.

Pieśni przywołują wspomnienia?

Wywołują wspomnienia i emocje, służą do nazywania ich, przeżywania smutku i radości. Każda pieśń ma swoją historię, kojarzy się z konkretnymi ludźmi. Jak kobiety na wsi śpiewają, to zawsze wspominają. A to, że tę pieśń śpiewał ojciec, jak wracał wieczorem do domu i brał córkę na kolana, a tamta śpiewał sąsiad, co to wrócił z wojny bez nogi. Dla nich pieśni są zahaczone w rzeczywistości. I ja teraz też tak już mam, każda kojarzy mi się z chwilą i osobą, od której ją usłyszałam.

Trudno jest namówić kobiety na Polesiu do śpiewania?

Raczej nie. Przyjeżdżamy do wsi, pytamy, czy ktoś śpiewa, pukamy do domu. To, że sama śpiewam, pomaga, otwiera drzwi. Zresztą tam ludzie nie pytają od razu, po co przyjechaliśmy. Raczej zapraszają do domu, upewniają się, czy nie jesteśmy głodni, czy mamy gdzie spać. Wcale nie chcą zaraz się dowiedzieć,

kim i skąd jesteśmy. Zadają pytania, jakich u nas nie wypada zadać: czy mam rodziców i czy mi pomagają, czy mam męża, czy mieszkamie własne. Ludzie starzy mieszkają sami, często jak kogoś poznają, to mam wrażenie, że czekał na mnie, na kogoś, komu można pośpiewać, opowiedzieć historię życia.

Cieszą się, że przyjechaliście, że interesują was ich pieśni?

Śpiew w ogóle powoduje ożywienie. Zdarzało się, że ludzie we wsi mówili: „Do tej sąsiadki to nie idźcie, ona stara, chora i już nie kojarzy”. Przychodziliśmy i rzeczywiście: leży staruszka w łóżku, wychudzona, zawinięta w prześcieradło jak w kokon. I nagle zaczyna śpiewać, opowiadać. Twarz zrobiła się żywa, spojrzenie przytomne. Mijała godzinę za godziną, a ona mocnym głosem śpiewała i opowiadała. Pieśni mają moc, uruchamiają i siły, i emocje.

Słuchacie ich, nagrywacie, ale też śpiewacie razem z kobietami z Polesia.

Tak, wspólne śpiewanie, za stołem zazwyczaj, to są sytuacje pełne energii, entuzjazmu, siły. To wspólne świętowanie, wydarzenie. Wszyscy się schodzą, przynoszą różne dobre rzeczy, jajka, ciasta, gołąbki, ziemniaki ze skwarkami, kiszonki. Jedzenie tam jest pyszne i wyjątkowe także dlatego, że robi się je w glinianych piecach. Długo dochodzi w ciepłe, w wielkich garnkach kartofle dla świń, a w małych potrawy dla ludzi.

A co jest najlepsze, jaki smak pani wspomina w Warszawie?

Tam wszystko jest dobre: placki, naleśniki, jagody. No, ale najlepsza to chyba jest harbuszowa kasza, czyli dynia na słdko

z mlekiem i kaszą jagłaną. Bardzo jest pyszna.

Co z panią zostaje z tych historii, pieśni, spotkań?

Na różnych etapach życia różne rzeczy, których tam doświadczam, są dla mnie ważne, nawet odkrywcz. Na pewno poczucie, że ludzie są pomocni i że nie jest się samemu na świecie. Nauczyłam się też wiele o ważności przodków, o szacunku dla przeszłości. Charakterystyczne jest, jak tam są zadbane cmentarze. Każde święto jest okazją, żeby odwiedzić groby, przyozdobić je wstążkami, kwiatami – jeszcze raz, jeszcze ładniej.

Ktoś jest tam pani szczególnie bliski?

Jest taka kobieta, Dominika Czykun ze wsi Staryj Konik, na północ od Równego. Mówią o nią Dania. Mieszka ze swoją starszą koleżanką Pałaszką, gospodarzą we dwie. Jest osobą pracy i czynu, bije od niej niesamowita energia. Tam zresztą wiele starszych kobiet ciągle pracuje, nie wyobrażają sobie, żeby nie mieć krowy, kur, żeby ziemia leżała niezaopiekowana. Spędziłam u Dani dużo czasu. Wszystko tam robiłam: gnój przerzucałam, stonkę tępiłam, siano zbierałam. No i śpiewałam – z Danią, w cerkwi, w chórze, na pogrzebach.

Czego się pani od niej nauczyła?

Na przykład tego, że pieśń to poważna sprawa, zasługuje na szacunek, nie można jej śpiewać ot tak sobie, mimochodem, bo mówi o ważnych rzeczach.

Odkrywanie starych pieśni, spotkania ze starymi kobietami to jak podróż w czasie. Pani mama, pisarka i dziennikarka

Anna Bikont, też podróżuje w przeszłość, w historię Jedwabna na przykład. Skłonność do poznawania przeszłości to rodzinna cecha?

To, czym ja się zajmuję, jest pewno w opozycji do tego, co robi mama. Ona też rozmawia ze starymi ludźmi na wsi, ale styka się z tym, co najgorsze, przywozi historie od ludzi i o ludziach, które pokazują ich najczarniejszą stronę. Może to, że ja się zajmuję muzyką na wsi, jest próbą jakiegoś odczarowania obrazu człowieka. To, co robimy, mama i ja, jest podobne, a jednocześnie jest swoim przeciwieństwem. Może ta moja miłość do wsi to rodzaj małego buntu?

Świat pieśni z Polesia odchodzi, znika?

Tak, oczywiście. Zawsze jak tam jadę, myślę, że to ostatni moment. Ale kiedy prawie 200 lat temu Oskar Kolberg jeździł po wsiach, też miał takie wrażenie. A jednak ciągle można spotkać, i tam, i w Polsce, śpiewaków i muzykantów. W Polsce coraz więcej osób interesuje się muzyką ludową, także taneczną. I na przykład w Warszawie, na Jazdowie, bardzo często są potańcówki, tańczy się mazurki, są festiwale i liczne środowisko ludzi związanych z muzyką tradycyjną.

Dlaczego tak się dzieje?

Może dlatego, że w niej zawsze chodzi o ludzkie historie i emocje. I ta muzyka ma też taką wielką zaletę, że jest spoza polityki. Jak się siada na ławeczce przed chałupą, żeby pośpiewać, to nie ma znaczenia, jakie kto ma poglądy, kto jest z prawa, a kto z lewa. Ona jest obok tych wszystkich wydarzeń i przypomina, co jest naprawdę ważne.

ROZMAWIAŁA Ewa Burska